Rok V. Luty—Marzec 1924 Nr 2—3.

ORLI LOT

MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY

ORGAN KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO.



róle tatrzańskich gór: Lodowy, Łomnica, Gierlach. — Zdjęcie z aeroplanu unoszącego się nad Doliną Batyżowiecką. Po lewej stronie skrzydło samolotu.

Ostatnia konferencja Rady Ligi Narodów przyniosła nam szereg rozczarowań i klęsk. W brew traktatowi pokoju i niezaprzeczonem prawom dostępu Polski do morza, przyznano Kłajpedę, ważny port bałtycki wrogiej nam dzisiaj Litwie. Mimo wysiłków i starań naszych pełnomocników w Genewie — straciliśmy obszar Jaworzyny na rzecz Czesko-Słowackiej republiki. Dwie wielkie, urocze doliny tatrzańskie, perły gór polskich, Biała Woda i Jaworowa, przeszły pod obce panowanie. Ten krzywdzący nas wyrok jest tem więcej przykry, że historja, etnografja a wreszcie nomenklatura gór, Czechom dzisiaj oddanych — wskazuje na polskość tego najpiękniejszego skrawka naszej ziemi. Legenda ludowa, sztuka, prześliczna liryka polskiej poezji tatrzańskiej — oplotła się jak górska mgła, promieniami słońca przesycona, wokół tych cudnych, przepaścistych turni, świerkowych lasów i hal, przejrzystych potoków, i cichych, pawiookich stawów, w granitowem obramowaniu kotlin górskich drzemiących.

Orły białe na szczytach polskich gór słały sobie gniazda — ale lew czeski u podnóża Tatr nigdy legowisk nie szukał. I mimo słupów granicznych, które główne szczyty i granie tatrzańskie, Rzeczypospolitej najwierniejsze strażnice, od Polski oddzielą — pamiętać o Jaworzynie i Spiszu będziemy zawsze!

PROF. DR. WŁADYSŁAW SEMKOWICZ.

Walka o polskie „Kresy południowe“.

Niedawny wyrok Ligi Narodów w sprawie Jaworzyny, dla nas niestety zupełnie niepomyślny, stanowi ostatnie ogniwo w łańcuchu walk o nasze kresy, ile że Jaworzyna stanowiła jeszcze jedyne sporne terytorjum, na którem granice Polski nie były dotąd ustalone. Wyrok ten ma w szczególności rostrzygające znaczenie dla tego odcinka kresów, które określamy nazwą „południowych“, obejmując nią obszar Spisza i Orawy, położony po obu stronach Podhala nowotarskiego i Tatr. W tym decydującym momencie warto rzucić okiem wstecz na cały okres walki o „Kresy południowe“, przypomnieć wysiłki, zmierzające do zbudowania i umocnienia tej naszej marchji podtatrzańskiej, której znaczenia niestety wielu, najlepszych nawet, Polaków nie pojmowało i dotąd nie pojmuje.

Spisz i Orawa, a dodajmy jeszcze i okręg t. zw. czadecki, przylegający od południa do Śląska Cieszyńskiego, już w zaraniu Polski piastowskiej wchodziły w skład naszego państwa, zasiedlone też zostały z Polski, przez ten sam szczep góralski, który obsiadł północne stoki Tatr i Beskidu. W czasach słabości państwowej, traciła Polska powoli te zakarpackie krainy na rzecz wciskających się tu Węgrów, naprzód w XII i XIII w. Spisz, odzyskany częściowo przez Jagiełłę, potem w XVI w. Orawę, wreszcie w przededniu pierwszego rozbioru (1769 r.) resztę

Spisza z zamkiem Lubowlą, podczas gdy Czadeckie oderwali Węgrzy od Śląska dopiero w początkach XIX w. Mimo jednak tak wczesnego odpadnięcia od swej macierzy, mimo silnego narażenia na wynarodowienie przez szkołę madziarską i groźniejszy jeszcze pod tym względem dla ludu polskiego kościół słowacki, pozostał on wiernym swojej mowie ojczystej, którą przechował dotąd nieskazitelnie w całej barwnej krasie gwary góralskiej, pozostał wiernym obyczajom i wierze przodków, mimo, że modlił się i śpiewał w kościele w obcym języku słowackim, zachował swój piękny strój, swoje bogate zdobnictwo, jednem słowem te wszystkie cechy i właściwości, które wiązały go w jedną grupę etniczną z resztą polskiego ludu góralskiego. Jedno tylko zatracił ten nasz lud w ciągu paru wiekowej rozłąki z polską rodzicą, a to poczucie swej do niej przynależności, uważał się za Słowaków i wogóle o Polsce zapomniał i z pokolenia w pokolenie coraz bardziej zapominał. Jeszcze tylko starzy górale pamiętali, że drzewiej, za króla Bolesława, Spisz i Orawa należały do Polski, a granice jej sięgały aż po mosty gienciańskie, trzy mile na południe od Koszyc, ale poza temi mglistemi wspomnieniami, poza corocznemi tłumnemi pielgrzymkami do polskich miejsc odpustowych, Ludzimierza, Kalwarji a zwłaszcza Częstochowy, nic ich z Polską nie wiązało, a nazwa „Polak“ stanowiła nawet dla nich obelżywe przezwisko. Znani też byli w całej Polsce biedni druciarze z okolic Czacy, ale uchodzili powszechnie za Słowaków, za jakich się podawali. Było to wynikiem z jednej strony wynarodawiających wpływów słowackich i madziarskich, z drugiej zaś smutnej obojętności naszej dla sprawy kresów południowych w dobie przedwojennej, gdy cała praca narodowa w byłej Galicji, tej jedynej dzielnicy, gdzie ona mogła wogóle się rozwijać, skierowała się na jej wschodnie, polsko-ruskie obszary oraz na Śląsk Cieszyński. Spiszem i Orawą więcej od nas niestety interesowali się Czesi, którzy swoją przewidującą polityką już dawno objęli całą Słowaczyznę, uczeni też czescy jedni z pierwszych stwierdzili w szeregu naukowych prac etnograficznych i językoznawczych istnienie polskiego ludu w górnych Węgrzech.

Nie można jednak powiedzieć, abyśmy o tym ludzie i o tych stronach zupełnie zapomnieli. Zapuszczał się tam nieraz uczony polski, przyrodnik lub etnograf (Zejszner, Eljasz-Radzikowski, Zawiliński i in.), zawędrował w te okolice czasem polski turysta, ze zdumieniem odkrywając na tle cudnej przyrody górskiej, jak w dolinie Popradu, wśród mnóstwa polskich pamiątek przeszłości, rodzimy, najczystszej wody język i ojczysty obyczaj. Lecz na palcach policzyć można ludzi, którzy z pobudek czysto narodowych zwracali swoje oczy na Polaków zakarpackich, mieszkających tam w liczbie przeszło 100.000 i próbowali pracować nad ich uświadomieniem, mimo niesłychanych trudności, jakie takiej pracy stawiały zrazu władze węgierskie. Dwa były ogniska tej pracy w Polsce: w Krakowie i Nowym Targu. W Krakowie powstało jeszcze na kilka lat przed wojną t. zw. „Koło Spiżowe“,

którego duszą był śp. Juljan Teiszyre, odwiedzający z rodziną swą corocznie w czasie wakacyj Spisz i Orawę, gdzie w bezpośrednim zetknięciu z ludem, uświadomił go słowem i polską książką. On to pierwszy zasiał polskość w duszy najwybitniejszego później działacza narodowego, młodego podówczas jeszcze chłopca, ks. Ferdynanda Machaya (1906 r.)[1]). Z Nowego Targu zaś jeszcze dawniej oddziaływał jak najgorliwiej w kierunku uświadamiania narodowego Spisza i Orawy Dr. Jan Bednarski, jeden z głównych założycieli „Gazety Podhalańskiej“, która też duże usługi oddała sprawie polskiej na kresach południowych. Te pierwsze siłowania pracy narodowej przenikającej z Polski, znalazły grunt podatny na Orawie, odkąd rząd madziarski, chcąc sparaliżować rozwijającą się pośród Słowaków a zaszczepioną z Czech ideę panslawistyczną, a wraz z nią seperatystyczny ruch słowacki, poparł dążenia kilku ruchliwych jednostek (Matonog, Stercula), aby pośród górali polskich obudzić poczucie narodowe, oczywiście na gruncie wiernopaństwowym, węgierskim. Jednym ze środków zmierzających do tego celu, miała być uświadamiająca broszura pt. „Co my za jedni“, napisana w gwarze góralskiej i rozrzucona w setkach egzemplarzy po Spiszu i Orawie.

Przyszła straszna wojna światowa; z jej chaosu z morza krwi i zgliszcz pożarów wyszła Polska odrodzona. Z chwilą jej wskrzeszenia, gdy cały naród stanął do walki o swe najświętsze prawa do kresów pod hasłem: „Polacy do Polski“, które na Kongresie paryskim znalazło orędownika w osobie wielkiego ideologa Wilsona, sprawa Spisza, Orawy i Czacy musiała przyjść także na porządek dzienny. Zaraz po katastrofie Austro-Węgier, już w pierwszych dniach listopada 1918 r. powstały na Spiszu i Orawie samorzutnie polskie Rady narodowe, które uchwaliły przyłączenie tych ziem do Polski i zaprzysięgły jej wierność, witając z entuzjazmem wkraczające sztandary polskie. Niestety rząd nasz popełnił błąd, który fatalnie zemścił się na dalszych losach kresów południowych, nakazując już rychło, rzekomo na rozkaz Francji, wycofanie polskich oddziałów wojskowych ze Spisza i Orawy i dozwalając Czechom dokonać ich okupacji aż po dawną granicę węgierską. Czesi w podstępny sposób wyzyskali tu moment najcięższy dla obudzonego do nowego życia państwa polskiego, które na wszystkich niemal równocześnie frontach musiało staczać krwawe boje o swój byt zagrożony, wypierać Niemców z Poznania a bolszewików z Wilna, bronić Śląska Cieszyńskiego, napadniętego zdradziecko przez Czechów a Lwowa przez Ukraińców. Zdawało się, że w tym powszechnym chaosie, w tym wirze walk, jaki rozpętał się wówczas na kresach młodego państwa, sprawa Spisza i Orawy pogrąży się w zapomnieniu, lecz szczęściem byli ludzie, którzy jej nie dali zaprzepaścić, postanowili podjąć usiłowania o odzyskanie kresów po-

---

[1]) Czytaj o tem niezwykle zajmujący pamiętnik ks. Machaya p. t. „Moja droga do Polski“.

łudniowych i mimo najniepomyślniejszych warunków wytrwać w tej walce do ostatka. Ci ludzie, grupujący się głównie w Towarzystwie Tatrzańskiem i w Związku Podhalan, przybrawszy sobie kilku ludzi nauki i miłośników Podtatrza, założyli z inicjatywy i pod przewodnictwem króla poetów tatrzańskich, Kazimierza Tetmajera, Narodowy Komitet obrony Spisza, Orawy, Czacy i Podhala z siedzibą w Krakowie i całym szeregiem komitetów lokalnych, rozsianych zwłaszcza na Podhalu. Komitet spisko-orawski, tak bowiem w skróceniu się nazywał, starał się z jednej strony za pomocą wieców, broszur i artykułów dziennikarskich oddziaływać na społeczeństwo polskie w kierunku uświadamiania o wartości tych ziem kresowych i potrzebie przyłączenia ich do Polski, z drugiej strony gromadził materjały naukowe dla delegacji polskiej na Kongresie pokojowym, czyniąc zabiegi o przyznanie takiej granicy, któraby oddała Polsce na Spiszu całą Dolinę Popradu, nadto Orawę po Magórę orawską i zachodnie Tatry, oraz Okręg czadecki. Niestrudzony ks. Machay objeżdżał miasta i zdrojowiska polskie z odczytami o Spiszu i Orawie, a w marcu 1919 r. zawiózł do Paryża delegację tych ziem, złożoną z dwóch górali: Piotra Borowego z Orawy i Wojciecha Halczyna ze Spisza. Delegacji powiodło się dzięki usilnym zabiegom jej wytrwałego przewodnika uzyskać audjencję u Wilsona, który ujęty szczerością i prostotą tych dwóch górali, domagających się przyłączenia ich ojczystych ziem do Polski, obiecał poparcie ich sprawy na Kongresie. Po bezskutecznej próbie rokowań z Czechami o Śląsk Cieszyński, Spisz i Orawę w lipcu 1919 r., rząd polski wysunął żądanie, aby spór rozstrzygnięty został przez plebiscyt ludności. Rada najwyższa we wrześniu tegoż roku przychyliła się do tej propozycji, niestety jednak okroiła znacznie terytorjum, na które miał się rozciągać plebiscyt, nieuwzględniając zgoła Okręgu czadeckiego, na Spiszu dopuszczając go tylko w jednym powiecie Starowiejskim i skrawku Kieżmarskiego (w Jaworzynie), gdy delegacja polska żądała nadto rozciągnięcia plebiscytu na resztę powiatu kieżmarskiego i obszar powiatu lubowelskiego. Jedynie na Orawie przychylono się w Paryżu do wniosku polskiego, aby głosowanie ludności odbyło się w dwóch powiatach z przeważającą ludnością polską, namiestowski i trzciańskim. Tak tedy cała dolina Popradu, najbardziej narodowo uświadomiona, oraz Czaca, zostały bez żadnych względów oddane na łup Czechów.

Przygotowanie nasze do plebiscytu, prowadzone w r. 1920 pod kierunkiem gorliwego i z całem poświęceniem oddanego sprawie komisarza plebiscytowego prof. Walerego Goetla, przy pomocy całego sztabu działaczy zorganizowanych w głównym Komitecie plebiscytowym w Nowym Targu i szeregu półkomitetów lokalnych, natrafiły od samego początku, podobnie jak w Cieszyńskiem, na ogromne przeszkody z powodu brutalnych gwałtów ze strony Czechów, utrudniających niesłychanie wszelką pracę agitacyjną. Ofiarą tego nieprzebierającego w środkach

terroru czeskiego padł jeden z najbardziej zasłużonych na Spiszu działaczy polskich prof. Józef Wiśmierski, zamordowany przez bojówkę czeską w Niedzicy. Cały szereg innych patrjotów polskich, niezważających na grożące im w każdej chwili niebezpieczeństwo, między innymi siostra ks. Machaya Józefa, dostał się do więzienia czeskiego. Mimo to wszystko, szanse nasze tak na Śląsku Cieszyńskim, jak na Spiszu i Orawie były bardzo pomyślne, ale tego właśnie obawiali się Czesi i dążyli wszelkiemi środkami do uniemożliwienia plebiscytu. Ostatecznie Komisja międzynarodowa cieszyńska, która naogół szła na rękę Czechom, oświadczyła się w Paryżu przeciw plebiscytowi. Na Polskę spadła wówczas nawała bolszewicka i oto ten moment, najgroźniejszy



Mapa Spisza i Orawy (zakreślone miejsca zamieszkane przez Polaków).

od jej wskrzeszenia, znów wyzyskują Czesi na swoją korzyść. W chwili gdy bolszewicy stali pod Warszawą, delegat rządu polskiego zmuszony był podpisać w Spaa umowę, w której między innemi poddawał spór z Czechami pod rozstrzygnięcie mocarstw. Dnia 28 lipca 1920 r. zapadła decyzja Rady Ambasadorów, w najwyższym stopniu dla Polski krzywdząca, zarówno w Cieszyńskiem, jak na Spiszu i Orawie gdzie dostały nam się tylko małe skrawki: na Orawie 14 gmin, z których Lipnicę Wielką, położoną na południowych zboczach Babiej Góry przecięto na dwie części, oddając górną część z 1/3 ludności Czechosłowacji i odcinając ją od kościoła, który wraz z większą częścią ludności przyznano Polsce. Na Spiszu z pośród 13 przyznanych Polsce wsi przecięto w podobny sposób Jurgów, pozostawiając po stronie polskiej domy i mieszkańców a większość pól ornych, wszystkie łąki i lasy przydzielając Czechom. Nadto pozostawiła

Rada Ambasadorów po stronie czechosłowackiej całą gminę Jaworzynę spiską, gdzie mieszkańcy polskiego Spisza, w szczególności trzech wsi, Jurgowa, Czarnej Góry i Rzepisk posiadali swoje hale i lasy, tak, że stanowiła ona dla nich główną podstawę bytu. Ale ta fatalna decyzja Rady Ambasadorów, powzięta niewątpliwie bez zasięgnięcia zgody delegacji polskiej, jedynie pod dyktatem Czech, którym widocznie zależało na tem, aby — nie mogąc zabrać wszystkiego — pozostawić na Spiszu i Orawie wiecznie krwawiącą ranę, ta decyzja była nietylko z powyższych względów lokalnych bezsensowną; była ona zarazem do najwyższego stopnia krzywdzącą narodowe interesy Polski, gdyż wbrew zasadzie etnograficznej, którą należało tu przedewszystkiem uwzględnić, przyznano nam zaledwie 1/4 ludności polskiej, w liczbie około 25.000 dusz, podczas gdy 3/4, t. j. przeszło 80.000 Polaków, zamieszkujących w zwartej masie 59 wsi, oddano obcemu państwu na łup wynarodowienia. Natomiast Polska na przyznanych skrawkach Spisza i Orawy nie otrzymała ani jednego Słowaka. (Ciąg dalszy nastąpi).

DR. ADAM GADOMSKI.

Dolina Białej Wody.

Dolina ta stanowiąca południową część właściwej doliny Białki, tej największej doliny północnych stoków Tatr, rozciąga się od ujścia Roztoki ku południowi aż do głównej grani W. Tatr, na przestrzeni około 9 km długości. Okalają ją od wschodu szczyty Holicy 1630 m, Zadnia Kopa 1673 m, Horwacki Upłaz 1895 m, Zamki 2013 m, Szeroka Jaworzyńska 2221 m, Zielona 2131 m i Jaworowe Turnie 2232 m.

Od południowego wschodu, południa i południowego zachodu, części głównego grzbietu Tatr, począwszy od Małego Jaworowego Szczytu 2386 m, aż po Rysy 2503 m. Zwrócić tu uwagę należy, iż na linji tej zgrupowane są jedne z najpotężniejszych i najpiękniejszych szczytów tatrzańskich. Łamana linja łańcucha tego prowadzi przez następujące szczyty:

1) Graniastą Turnię 2260 m
2) Świstowy Szczyt 2380 m
3) Dziką Turnię 2373 m
4) **Małą wysoką 2429** m
5) Wielicki Szczyt 2329 m
6) **Litworowy Szczyt 2431** m
7) **Garłuch (szczyt półn.) 2630** m
8) **Batyżowiecki 2458** m
9) Kaczy 2400 m
10) **Żłobisty 2433** m
11) **Rumanowy 2428** m
12) **Ganek 2465** m
13) **Wysoką 2565** m
do Rysów 2503 m.

Od zachodu otoczenie tworzą Niżnie Rysy 2438 m, Żabi Szczyt Wyżni 2252 m, Młynarz 2168 m, Skoruśniak 1681 m, ujście wiszące Doliny Żabich Stawów Białczańskich, dalej końcowe stoki Żabiego 1583, ujście również wiszące Rybiego Po-

toku, t. j. doliny Morskiego Oka, Czuba 1419 m, ujście gardzielowe Roztoki i wschodnie grzbiety Wołoszyna 2151 m.

W ten sposób ograniczona dolina Białej Wody ma kształt przybliżony do serca wydłużonego, którego podstawę tworzy szereg amfiteatralnie rozłożonych wiszących dolinek, samo zaś koryto walnej doliny jest wydłużeniem tegoż. Środkowa część dna dolinnego położoną jest w wysokości 1306 m, i ponad tym



Ściany Młynarza 1825 m z doliny Białej Wody. Widok na żłób lodowcowy i na powyżej tegoż poszarpane periglacjalne turnice. Sam szczyt Młynarza 2108 m znajduje się znacznie wyżej.

Fot. Dr. A. Gadomski.

dnem w wysokościach do 300 m wznoszą się ujścia schodowe bocznych dolin i wąwozów, świadczące o nadzwyczaj silnym przegłębieniu głównej t. j. walnej doliny.

Bocznymi dolinami „Walnej Doliny“ są na północy:

Od południowego wschodu 1) Czerwona Dolina między Czerwoną Skałą 1355 m, a Wierchem Skałek 1435 m,

2) Dolina Rozpadliny w Horwackim Upłazie 1828 m,

3) Dolina Spis Michałowa między Horwackim Upłazem a Zamkami 2015 m, z grotą lodową świeżo odkrytą w r. 1923.

Od południowego zachodu:

1) Waksmundzka Dolina z pod Krzyżnego,
2) Dolina Rybiego Potoku z Morskim Okiem,
3) Dolina Żabich Stawów Białczańskich z dwoma stawami:



Polana pod wysoką 13(8 m w dolinie Białej Wody. Widok na wiszące ujście doliny Czeskiej, która opada 250 m progiem zwanym „Ścianą Stawiarską“, gdyż poza nią rozlewa się przepiękny Czeski Staw 1612 m. W górze pięknie widoczny boczny żłób lodowcowy w kształcie litery U pomiędzy półn.-wschodnią granią Ganku 2465 m, z lewej strony a ścianami Młynarza 2108 m z prawej strony.

Fot. Dr. A. Gadomski

W środkowej części uchody, natomiast od południowego wschodu:

1) Litworowy Żleb,
2) Dolina Rówienki 1543 m.

W górnym końcu rozgałęzia się dolina w kilku kierunkach, tworząc amfitealralne górne wiszące piętra.

Qd południowego wschodu licząc mamy:

Dolinę Świstową ze „Zmarzłym Stawem“ pod Polskim Grzebieniem, od południa 1535 m, Dolinę Litworową z Litworowym Stawem 1850 m i Dolinę Kaczą z Zielonym Stawem 1577, od południowego ~~wschodu:~~ Doliną Czeską z Czeskim Stawem 1612 m i Zmarzłym 1774 m.

Dolinę Białej Wody uważają wszyscy za jedną z najpiękniejszych dolin tatrzańskich i tak n. p. Dolina Kościeliska jest niezaprzeczenie śliczną, lecz brak jej potężnych otaczających turni. Kruchy wapień niezdolny jest przybrać kształtów prawidłowych i wielkich, będzie zawsze poszarpany z małymi cypelkami i iglicami. Przeciwnie zaś granit w Dolinie Białej Wody przybiera formy wielkie i prawidłowe, linje graniczne jego są bardziej proste, co nadaje dolinie charakter potężny, wysokogórski (z polany pod Wysoką 1306 m rozpościera się najwspanialsza panorama tatrzańska). Krajobraz ten jest wprost idealnym pod względem glacjalnym, ze wspaniałym przegłębionym żłobem o kształcie litery U pomiędzy przestromemi ścianami. Młynarza 1825 m, a Turnią 1878 m nad Kolebą, dalej z wyżej ponad linją maksymalnego zasięgu lodowca położonemi zboczami periglacjalnemi szczytu Młynarza 2168 m i wreszcie z amfiteatrem dolin wiszących i karów w głębi.

Wszystkie czynniki te, a więc strome ściany karów, jeziora w litej skale, potężne żłoby lodowcowe i szereg wspaniałych dolin wiszących, wskazują na bardzo potężne działanie czynników erozji glacjalnej. Przegląd tych morfologicznych form, daje nam możność ocenienia znamion, będących bezpośrednim lub pośrednim wynikiem zlodowacenia, które Tatry przebyły w czasie epoki lodowej. Budowa geologiczna bowiem daje nam tylko wgląd w zaburzenia, które się tam poprzednio w związku z ruchami skorupy ziemskiej odbywały, natomiast wszystko to, co nadaje główny urok Tatrom, stwarza ich alpejski wygląd, tak różny od Beskidów czy innych gór średnich jest wynikiem i świadectwem epoki lodowcowej w Tatrach. Ponieważ zaś dolina Białej Wody jest najwspanialszą doliną północnych stoków Tatr, przeto też i ślady epoki lodowej są w niej najlepiej rozwinięte. Rozpatrując bliżej amfiteatr dolin wiszących tej doliny, można uważać za rzecz pewną, że główny lodowiec wyszedł z dolin Kaczej i Litworowej. Dowodzą tego boczne dolinki Czeska i Świstowa, uchodzące do walnej, progami niedostosowanej erozji glacjalnej. Tutaj w miejscu dzisiejszej polany pod Wysoką, nastąpiło połączenie się lodowczyków Czeskiego, Kaczego, Litworowego i Świstowego w lodowiec Białej Wody. Po tem połączeniu się lodowiec spływał już żłobem dolinnym o dzisiaj widocznym typowym kształcie U, w starszych fazach w żłobach wyżej położonych, w młodszych w niższych i wciętych w starszej otrzymując dopływy lodowcowe z Doliny Żabich Stawów Białczańskich, Rybiego Potoku i Roztoki z lewej strony z prawej zaś z doliny Rówienek i Spis Michałowej. Poniżej ujścia lodowca Roztoki rozpoczynał się już wspólny potężny lodowiec

Białki, płynący szerokiem korytem a otrzymujący dopływy lodowcowe z doliny Waksmundzkiej. Siła jednak transportowa lodowca Białki była mała, jak u rzek płynących dużemi dolinami, o dość dobrze wykształconej krzywej erozyjnej, stąd też mniejsze moreny czołowe i brak większych stożków rzeczno-lodowcowych w porównaniu n. p. z zachodniemi lodowcami Pańszczycy i Suchej Wody. Odpływem tego lodowca była potężna struga tatrzańska Pra-Białka, która i dzisiaj stanowi trzecią strugę składową właściwego Dunajca a uchodzi do tegoż poniżej miejscowości Frydman na polskim Spiszu.

DR. TADEUSZ KIEŁPIŃSKI.

Ponad tatrzańskie turnie...

Ponad morzem szczytów Zachodnich Tatr zachodziło słońce, ogromne i cudne: łały się ostatnie fale promieni na kopulaste wierchy, których wierzchołki, w poświatę słoneczną spowite, zlewały się w srebrno-białem świetle z jasnością nieba. Stoki zielone gór dalekich przybladły, jakby srebrzystą gazą zasnute, gdzieniegdzie coraz silniej ciemniały świerkowe lasy, na halach górskich, krzesanicami turni zamkniętych, zaczynał pełzać mrok. Na nagich, stromych, ostrych granitach Wysokiej i Bałyżowieckiego Szczytu legł czerwonawy blask i szedł graniami szczytów ku Wielickiej Dolinie, gdzie Gierlach olbrzymią, czarną ścianą ponad niewielkim stawkiem zawisnął i słał na kotlinę wielki, coraz bardziej wydłużający się cień. Nad lodowcowym kotłem doliny Kaczej, na grzędach górskich, na poszarpanych ścianach, na łożyskach skalnych, krótkich, rwących w dół potoków, kładły się mroki, rozpościerały nad stawem tuman szaro-białawych mgieł i pełzały w górę, wolno, ku szczytom: jakby ktoś ciemny rozsnuwał welon nad krawędziami skał.

Turnie Gankowe zwarły się ciemnemi wieżycami nad doliną, jak baszty zaklętego zamku.

Przez szczerbę blanków skalnych wpadały smugi zachodzącego słońca i odcinały się na ciemnem tle doliny jak rzucony z reflektoru promień. Wielkie płaty śniegu na zboczach Zmarzłego Szczytu leżały na złomiskach piargów, jak olbrzymie, brunatno-białe trójkąty. W żlebach przełęcznych, w bliskości grani leżący śnieg mienił się czerwonym odblaskiem, gasł coraz więcej i przechodził w łagodny, blado-liljowy ton.

— Jak cicho... jak tu bardzo, bardzo cicho...

Przyjaciel mój wypowiedział te słowa prawie szeptem. Są chwile w wędrówkach tatrzańskich, gdy doznaje się wrażenia, jakby się było w ogromnej świątyni. Czarne krzesanice szczytów, jak ściany potężne. Turnie strzelają ku niebu jak ciosane w kamieniu kolumny. Mgły błękitne i jasne i szare idą w niebo jak dymy kadzideł...

Spokój był rzeczywiście ogromny. Cisza górskiego pustkowia dźwięczała w uszach szumem potoku, płynącego gdzieś w dołach, hen...

Siedzieliśmy na szczycie Małej Wysokiej, odpoczywając po długiej i uciążliwej drodze, zapatrzeni w dal, wsłuchani w odległe poszumy halne, w szepty kosodrzewu, które chwilami wiatr z ponad dalekich, śpiących stawów przynosił.

Pustka wokoło była ogromna.

W ciągu naszej „graniówki“ nie spotkaliśmy nikogo. Byliśmy daleko od przepełnionych ludźmi, gwarnych schronisk, od wygodnych utartych szlaków wycieczkowych, pełnych „partji“ turystów, wrzasku, arogancji, puszek od konserw i całej tej specyficznej „cywilizacji“, od której każdy taternik ucieka, gdzie



Widok na Lodowy, Jaworowy i Baranie rogi.

już kosówka nie rośnie, huczenie automobilowych syren nie dolata — i nic nie zamąca majestatu gór.

Położyłem pod głowę plecak, zwrócony twarzą ku cudnym koronkowym graniom Lodowych turni, nad otchłanią Jaworowej Doliny zawisłych, szczytom cudownym, całym w blado-liljowych tonach, w obramowaniu mgły, co się skał wieszała, cała złotem zachodzącego słońca nasiąkła.

Chwilami zamykałem oczy. Błąkała się jakaś leniwie błoga myśl: zawrę powieki, odbiję sobie ten obraz w myśli dokładnie, dokładnie... A potem otworzę oczy, by się przekonać, że marzenie nie rozwiało się jak sen...

Kilka kamieni poleciało w dół. Słyszałem, jak się rozbijały o piargi: raz, raz... Józek poruszył się niespokojnie. Zwróciłem się ku niemu z niechęcią, z wyrzutem:

— Bądźcie cicho...
— Ktoś idzie. Nawet już niedaleko. Słyszę.
— Niemożliwie. Teraz? Skądże?

Było nam w tej ciszy zapadającego wieczoru tak dobrze z tą naszą samotnością, że nawet myśl o tem, że zobaczę znowu zakopiańskie lub czeskie towarzystwo, rozkrzyczane, spotniałe, rekordowo „ostatni szczyt" robiące — stawała się dziwnie niemiłą.

Jednak prawda. Usunął się gdzieś żwir i zachrzęścił drobnemi kamykami po skale. Po chwili rozległ się wyraźnem echem stuk czekana.

Na przełączce pod Małą Wysoką ukazał się turysta. Był sam. Bez kapelusza, w ciężkich, płaskich butach, z ciupagą w ręce. Zgrabnemi ruchami trawestował ściankę kierując się ku górze. Klamrę, niewiadomo po co wbitą w granity, ominął i szybko, zręcznie piął się stromym żlebem na szczyt. Na moment przystanął. Oparł się na ciupadze i silnie przechylony ku przepaści Zmarzłego Stawku patrzał na leciuchny opar mgiełki, którą wiatr popod granią kolebał.

Wprawne oko górskiego włóczęgi poznało odrazu taternika; nie był to „liniarz" który furką do Morskiego przyjeżdża i tam dwa dni siedzi, panienkom o najtrudniejszych ściankach Żabiego Konia opowiadając i wykazując przytem dokładną znajomość przewodnika Chmielowskiego. Ręce posiekane od skał, twarz opalona wichrem. Z daleka szedł.

Podeszliśmy bliżej i nastąpiła ta charakterystyczna wymiana wysokogórskich grzeczności, polegająca na wskazaniu dogodnego miejsca pod plecak „żeby się nie zesunął" i jakiejś krawędzi skalnej, trzymającej „pewnie".

Rozmowa potoczyła się na temat gór. Pogoda wytrzyma. W południe kurzuł trochę Gierlach, ale to tak zawsze... A wczoraj to nas zasnuło gdzieś na Mylnej przełęczy i zdawało się, że ściana nie puści. Zeszliśmy trochę w dół, na maleńką bulkę: czekamy. Już zaczynało być smutnawo. Ale miarkujemy: wicher duje od Pięciu Polskich, wszystko dobrze. Okna się potworzyły we mgle i trawestowaliśmy ścianką doskonale, ale potem te rynny! och te rynny! Co za humorystyka!

Gość nasz szedł z Zakopanego; o ósmej minął Jaszczurówkę, a potem przez Waksmundzką, Roztokę, w 5 godzin do Białej Wody. Droga może trochę nudna, ale lasy, jodły w słońcu skąpane, zielono-srebrne, żywiczne, cudowne!

Kolega mój bąknął jakiś komplement pod adresem wprawy w chodzeniu. — Dziesięć godzin z Zakopanego na Małą Wysoką... no... no...

Z kolei zaczęliśmy mówić o swoich wyprawach w teren „skalno-problemowy", rozwodząc się długo, szeroko, po tatersku z lekka tylko przesadzając. Jakiś marsz turystyczny z Bystrego przez Zawory i Koprową do Szczyrbskiego. Jakaś dziwna wyprawa na Igły w grani Hrubego Wierchu...

— Trudności górskich dróg, to, co mieści w sobie cały urok wycieczek, owo pokonywanie przestrzeni i niebezpieczeństw siłą i sprawnością swych mięśni — niedługo, a zacznie należeć do przeszłości. Już teraz przy Morskiem Oku istny jarmark. Na Gąsienicowej telefony, drogi dojazdowe, komfort. Tylko czekać, jak się zapaskarzy hala — zacząłem smutną tyradę.

— A potem pójdą kolejki zębate, tramwaje. W pół godziny z Kuźnic na szczyt Swinicy wyjedziesz...

— Będziemy bronili Tatr. A co się tyczy rekordów szybkości, to mnie nawet najszybsza kolejka nie zaimponuje. Drogę z Zakopanego do Białej Wody przebywałem w pięć minut. I to w zimie. Nie spotykałem trudności terenowych. Były inne. Ale



Szczyt Gierlachu.

wierzcie mi panowie, niemniej wybitne. A wspomnienia pełne uroku...

Spojrzeliśmy na niego zdziwieni. Uśmiechnął się.

— Jestem lotnikiem, kapitanem eskadry powietrznej i fanatykiem Tatr, takim potrosze jak pan — zwrócił się do mnie.

— Cały listopad zeszłego roku siedziałem na mazowieckiej równinie, w strasznej szarudze jesiennej. Nudno było. I do myśli przyszedł gest — polecieć w słońce, nad Tatry. Projekt długo nie realizował się — pogoda straszna, wichry wiały z nad Atlantyku...

Długo czekałem. Aż wreszcie ogarnęła mnie jakaś dziwna tęsknota do gór, pragnienie lotu w Tatry tak silne, że aż z jakąś namiętnością graniczące. Mówiłem sobie: dzieciństwo. A jednak...

A jednak, gdy tylko pozwolenie dostałem, nie oglądając się na pogodę, wylecieliśmy we dwóch, ja i kolega-pilot, w słotny, jesienny dzień z Warszawy...

Słowa kapitana zainteresowały nas niepomiernie. Był to problem taternicki, całkiem odmienny o tych, które poznawaliśmy dotychczas. Opowiadanie lotnika, który w pieszych wędrówkach wszystkie tatrzańskie granie przemierzył, aby potem z chmur na nie spoglądać, cechowała nietylko doskonała znajomość gór ale głębokie i szczere odczucie ich krajobrazowego piękna. Mówił, patrząc na Tatry, na które schodził mrok. Wiedzieliśmy, że czeka długa droga przez Wielicką Dolinę — w ciemnościach. Lecz tak dobrze było leżeć na skalnych głazach szczytowych, tak błogo odpoczywać, patrząc w ciamno-oliwkowe, cudne niebo. Słuchaliśmy w milczeniu. (Dalszy ciąg nastąpi).

Na dawno ścięty las w Zakopanem.

Rano. Świta zaledwie. Na Giewontu głowie
opierają się senne, błękitne niebiosy
na trawie wokoło mnie świecą krople rosy
i las rosą się mieni srebrnie i różowie.

Cudny górski las w słońca wschodzie promienistym
Ah! Jakże go pamiętam! Każde drzewo w ciszy
każdy pień, strom radosny, co ku słońcu dyszy
żywiczną ostrą wonią i w błękicie czystym.

Dumną dzidę wierzchołka z zielonego złota
wyrzyna diamentem w niebieskim krysztale
a po pniach ciemnych światło słoneczne migota.

Las stoi w pieśni blasku i słonecznej chwale
o święty, o w mą pamięć diamentem wcięty
las o świcie przed wyjściem w góry — dawno ścięty.

Kazimierz Tetmajer.

MARJAN GOTKIEWICZ.

Śpismichałowa dolina.

Popod Szeroką Jaworzyńską w śpiskich Tatrach, jest jedna piękna dolina, którą lud Śpismichałową zowie.

Drzewiej, gdy jeszcze całe hale od Orawic po Jaworzynę do Polski należały, gdy nad niemi białe orły zataczały swe królewskie loty a przez Polski Grzebień do Liptowa zbójnicy perciami chadzali, w tych czasach staroświeckich, które dzisiaj z legendy jeno znamy, kiedy to na Jastrzębiej Turni świecił nocami zaklęty rubin, gdy lasy pełne były dzikiego zwierza i różnego

licha, gdy węże, mnichy i duchy zazdrośnie strzegły odwiecznych tajemnic lodowych, mrocznych pieczar, a w jeziorach tatrzańskich zdradziecko czatowały upiorne strzygi, dziwożony, topielice, w tych czasach już wypędzał Michałek z Jurgowa owieczki swoje na upłaz popod Szeroką Jaworzyńską.

Nie było dla niego większej radości, jak wtedy, gdy na wiosnę wyganiał w hale swój dzwoniący kierdelik, hań, ka ten siwy Murań, ka te bystre siklawy białczańskie, ka te stare dumające jaworzyńskie bory, pamiętające „zaśniętych" rycerzy królewskich. Luto mu tylko było, kiedy na pożegnanie całował spracowene ręce swej dobrej matusi, którą bardzo kochał. Ją jedną tylko miał na świecie, oprócz owiec i tych górskich hal.

Luto mu jej było, gdy płacząc, żegnała się z nim, ale przy niej nie został, lecz gnał swą trzodę pod Gładką Jaworzyńską.

— Michałku, a w niedzielę przychodź do kościoła! — leciało jeszcze za nim wołanie matki.

Jakoż w każdą niedzielę przychodził, a raczej przylatywał do wsi rzeźki i wesoły, jakby tam w górach, ka w zbójnickich komorach odnalazł jakie zaklęte skarby. Harny się przytem wydawał ludziom i urodziwy, że się mu dosyć napatrzeć nie mogli, aż za nim spojrzenia dziewcząt leciały, gdy szedł przez wieś od siwych gór. Ale on ta na to dużo nie zważał i ani może tego nawet nie widział.

Po mszy z matusią w domu długo rozprawiał a wieczorem był już przy swoich owieczkach.

Ale gdybyście go widzieli pasącego kierdel, tobyście go ani nie poznali, taki był niepodobny do tamtego we wsi. Kiedy słonko chyliło się poza długą grań Wołoszyna, wtedy on siadał na skale i pozierał w stronę wierchów, coraz czerwieniejących, jakby na nie odblask watry padał, jakby je kto obił czerwieńcami.

Cisza ta kładła się po turniach jak w samotnym kościele i spokój taki spływał z krzesanic ku dolinie, że bał się go zamącić śpiewem lub graniem fujarki. Ani wiatr nie poruszył konurów limby, nie zaszuścił wśród kosówki, od której szły żywiczne wonie, tylko po upłazkach dzwoniły w dali cicho dzwonki owiec, tylko małe lekkuchne, ognisto-złote mgiełki czepiały się wyniosłych szczytów, by rozwiać się i stopić w bezmiarze pogodnych niebios.

W takich chwilach Michałek dumał o czemś głęboko.

O czem dumał?

Zapewne o tem słonku, co właśnie schowało się za poszarpaną grań, dumał o tym orle, co chwytał w przestworzach na swoje skrzydła ostatnie blaski zachodu i o tych dumał zbójnikach, którzy z potokami w doliny, w daleki świat wypadali, o których mu matusia nieraz prawiła. Ani nie dostrzegał, że na podniebnych szczytach zagasła już wieczorna łuna, że po ich stokach wspinają się w górę cienie, wyległe z jakichś głębokich jezior, z jaskiń i żlebów, nie dostrzegał, że tam na firmamencie

niebios zabłysły już dziesiątki gwiazd. Rzewnie mu było i błogo zarazem. Mlecznemi drogami, przez górskie szlaki i zawrotne perci zbiegała do jego serca jakaś rzewna zaduma. Budziły go z niej dopiero owce, które otoczyły go zbitą gromadą. Wtedy zaganiał je do pobliskiego szałasu w dolinie, zapalał watrę i oddawał się bacowskim zajęciom.

Mijały tak tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, Michałek każdej niedzieli odwiedzał dobrą matusię.

Aliści pewnej niedzieli nie przyszedł do Jurgowa.

Zaniepokojona matka prosiła Jędrka i Józka, gazdowskich synów, ażeby szli zajrzeć na jej Michałka, ale im pilniej było do żydowskiej karczmy na muzykę i „palenkę". Zarzuciła więc chustkę na głowę, kierpce wdziała na nogi, do szmatki wzięła osełkę masła i kęs chleba i wyruszyła w drogę.

Szła długo nad brzegami szumiącej Białki ku Tatrom, gdzie jej syn pasał owca. Ciężko jej było, ale nie myślała o trudach. Byle go ujrzeć, byle dowiedzieć się czemu nie przyszedł.

— Zaspał czy co? — myślało zafrasowane matczysko, z niepokojem spoglądając na słonko, wędrujące po uciążliwym dniu na spoczynek po modrem niebie, na które o tej porze Michałek także zwykł był spoglądać.

Właśnie schowało się ono za kędzierzawy grzebień Wołoszyna, kiedy stanęła w dolince, w której jej syn bacował. Serce tak silnie jej biło, że przystanęła, by odpocząć. Kilkadziesiąt kroków przed nią stał pusty szałas na polance okolonej lasem wspinającym się w górę, het! aż ku upłazkom. Wokół wznosiły się wielkie wierchy, gorejące właśnie ognistą purpurą pod spojrzeniami zachodzącego słońca. Wśród ciszy rozległ się głos matki: — Michałku, kaś ty!?...

Nasłuchiwała sporą chwilę, czy nie dostanie od syna odpowiedzi, ale tylko wierchy niosły tłukące się wśród skał echo z zapytaniem o Michałka: — kaś ty? Ostatnie jego odgłosy ozwały się kędyś tam na Polskim Grzebieniu i zamarły, skamieniały na bledniejących czołach gór, na których gasła wieczorna łuna.

Niepokój straszny ogarnął serce matki. Bała się powtórnie zawołać na syna, by znowu nie usłyszeć okropnego echa, miast odpowiedzi od Michałka. Oglądnęła się wokół bojaźliwie i oto ujrzała opodal niej leżącego syna. Leżał w świątecznym stroju na posłaniu z mchów a nad nim jawor roztaczał konary. W jednej chwili znalazła się przy jego boku. Zadyszana ale szczęśliwa gładziła go drżącą ręką po twarzy.

— Przecóżeś do wsi nie przyseł? — szepnęła cicho nad jego uchem.

— Wstań, dziecko, bo już wieczór... Śpis, Michałku, śpis?... Ale Michałek nie powstał; spał bowiem snem wiekuistym, zabity przez tych zbójników, o których mu nieraz matka opowiadała.

. . . .

Dolina, w której się to działo zwie się Śpismichałową i żaden już Michałek z Jurgowa dzisiaj owieczek w niej nie pasie, ani z Szerokiej Jaworzyńskiej na Polski Grzebień nie poziera, chociaż niema tam już teraz zbójników ni dzikiego zwierza...

(Legendę tę słyszałem z ust pewnej starszej gaździny w Jurgowie na Spiszu, w r. 1923).

Jakie na Śpisu nosieli zbójnicy odzienie.

Portki mieli z owcej skórz i kosule. Na kosuli był pas ze sprzonckami mosienznemi ze strojeniem wielgim. Za pasem mieli duchomdzioki (mieszki honorowe) na tabak. Przi pasie z lewej strony były dwie obroncki na pistolce a na prawem boku mieli seść futrók (pochew) na noze. Pas béł z duplowanéj skóry. Do tego pasu móg zbójnik i gbeł (pół korca) piniendzy nasuć. Kosula sie zasywała na nitke a na piersiak beła trzpinka fit (cal) séroko a dwa długo. U trzpinki beło zawiesonych śtyry dwaścia serdusek na retiarkach (łańcuszkach) złotych. Kapeluse mieli z wysokimi strzechami (rondami) i z obijańcami (skórzany pasek nabijany rozmaitemi gwoździkami mosiężnemi). Kapeluse maścili zbójnicy starém sadłem, ze taki twardy béł, ze kie zbójnik trzepnół nim kogo, to naroz go zabiół. Kie se zbójnik obiaduwoł, abo odpocywoł, to se na kapelusu jak na stołku siedzioł, telo był twardy. W rence mioł zbójnik ciupaskę, wałaskę mosionznom. Toporzysko było obite blachóm na 12 cali. Na kazdym colu była obroncka mosionzno na takiej witece. Kie se zbójnik seł, to mu tak fajnie obroncka zbercała. Na nogak mioł zbójnik kyrpce a w nik onucki z cieniutkiego, biełutkiego płótna.

Zbójnicy na sytko mieli sposób. Kie kupowoł kyrpce, to se zazondoł z gotkowej (krzyżowej) skóry, a kielo mu kupiec pedzioł, to telo zaroz zapłaciół. Jak se kupił to sie 3 kroki wzad cofnął i naopak sie obrociół. Potem ik w nocy sel, kim ptosek nie ośpiewoł. Potem ik obuł na bose nogi, obróciół się w opak do trzeciego razu, to go nifto nie złapiół i nie widziół jak krod. Nieraz zbójnicy to po dwoje naroz kyrpcy obuwali, bo kie szli na zbój, to tele dole, jak do Krakowa ze Śpisa, tam narabowali u zydók i nazod tej samej nocy juz być musieli. Były to hyrne i mocne chłopy. Kie pioł wino, to nie z pucharku, ani ta sikierom copka nie odbijoł. Przycisnół palcem na copek, copek wyskocół, podniós se becke ku gembie i pioł.

Łapsze Wyżne na Spiszu, 26 marca 1924.

Fluciński Jan.

Nad Morskiem Okiem.

Toń zwodna, przepastna, przeźrocza,
Zamknięta, okuta w skał granity,
W tatrzańskie, śmigłe, górne szczyty;
Toń cicha, drżąca, urocza.

Migocą na niej srebrne fali dreszcze,
Bezszumne, nikłe, jakby zalęknione,
Jakby z cichego snu ledwie zbudzone
Przez zimne, groźne, skał zawładne kleszcze,

Limba na brzegu zadumana drzemie
I gwarzy zcicha o tej smutnej toni,
Co pól nie ujrzy złotych, ani kwietnych błoni,
Skuta w skał zręby, niby w kajdan brzemię.

Szumi cichutko limba o serc tęsknej doli,
Wtłoczonych w kierat życia bezduszny i szary,
Szemrze, że kędyś są upojne czary...
Ze kędyś żyje moc, co pęta rwie niedoli.

Morskie Oko, 5 września 1923. *K. Z-cz.*

JAN GADOMSKI.

Zima na Przygolezi.

W Beskidzie myślenicko-limanowskim, na szczycie góry Łysiny (912 m), zwanej także Przygolezią funkcjonuje bez przerwy od blizko już dwóch lat Stacja Astronomiczna Narodowego Instytutu im. Kopernika. mająca na celu zbadanie tamtejszych warunków dla przyszłego Instytutu, oraz obserwację ciał niebieskich w czystem powietrzu górskiem.

Górale, którym udaje się nieraz stawiać trafne przepowiednie pogody, tego roku jesienią zapytywani, zapewniali nas, iż zima nie prędko nadejdzie, lecz za to śniegi spadną duże i mrozy „bedom wielgie“. To też nauczeni zeszłorocznem doświadczeniem przygotowywaliśmy się pilnie do przetrwania zapawiedzianej ciężkiej pory zimowej na eksponowanej placówce, jaką jest Stacja Astronomiczna na Przygolezi, położona wśród gęstych lasów, na szczycie odludnej góry.

Wykorzystując wspaniałe słoneczne dnie, iście polskiej jesieni, w czasie których bór bukowy szybko zamieniał ciemną swą zieleń na barwy żółte, czerwone i ciemno-bronzowe, brodziliśmy po grubej warstwie zeschłych liści doglądając zwózki „ściela“ i obłożenia niem ścian domku. — Pewnego dnia, gdy deszcze jesienne rozmoczyły drogi, a wilgotne mgły zasnuły las, pies stacyjny „Baca“, z rasy owczarzy tatrzańskich, po dłuższem szcze-

kaniu zawył donośnie: „Panie, baczność, zbliża się dużo ludzi i dużo zwierząt“. I rzeczywiście za chwilę rozległy się w łesie wesołe nawoływania i trzaskania z biczów; wkrótce na polanę szczytową zajechał dziwny ekwipaż, przypominający chyba epokę wędrówki ludów, — zaprzężony w parę koni i dwie pary wołów, popędzanych przez pięciu górali. To leśniczy z Lipnika, sympatyk astronomji, nie bacząc na olbrzymie o tej porze trudności terenowe przysłał furkę desek na oszalowanie ścian domku.



Domek mieszkalny astronomów w pierwszych śniegach.

Górale, chociaż zmęczeni ciężką górską drogą, która nadzwyczaj stromo pnie się po północnych stokach Łysiny od kotliny Wiśniowej, niechcieli przyjąć napiwku, natomiast ciekawie wypytywali nas o warunki bytowania na szczycie, oraz z wielkiem zainteresowaniem oglądali gromochron, druty anten i lunety.

Należało teraz obić deskami ściany domku, dopóki jeszcze pozwalała na to jaka taka pogoda. Miniaturowy bowiem ten domek, zbudowany z drzewa, złożony z dwóch izb, z których

jedna przeznaczona jest dla zajęć gospodarczych, druga na mieszkanie i pracownię zarazem, miał nas obronić przed gwałtownymi wichrami zimowymi i pozwolić wśród dzikiej przyrody górskiej oddawać się badaniom i pracom astronomicznym. — Na środku polanki szczytowej, w pawilonie wzniesionym na sztucznym kopcu, zaopatrzonym w rozsuwalny dach, w miejscu o doskonałym widnokręgu trzy lunety oczekiwały cierpliwie pogodnej nocy. Słupy radjostacji, z rozpiętą siecią anten, dumnie dźwigały się ponad las. Angielska klatka na termometry, betonowy słup pod narzędzie przejściowe, deszczomierz, oraz wkopana w ziemię łata śniegowa, zdradzały naukowy charakter placówki, położonej samotnie.



Morze mgieł oglądane ze szczytu Przygolezi.

Gdyśmy się już uporali z przygotowaniami zimowemi również i domek „Bacy“ otrzymał „zachatę“ z liści oraz sionkę, chroniącą go przed naporem wichru i śniegu. Potem nastąpił przegląd nart, stanowiących tutaj w porze zimowej poza pracą naukową jedyną rozrywkę oraz środek komunikacyjny dla osady Stacji.

Poza krótkim okresem pierwszych śniegów i mrozów w połowie listopada, zima spaźniała się. Mimo grudniowych chłodów, zmarznięta w grudę, niepokryta śniegiem ziemia, pozwalała na odbywanie pieszych spacerów i stawiania horoskopów „lekkiej“ zimy. — I podczas gdy w dolinach nastał okres ponurych, ciemnych dni, my tu na szczycie pławiliśmy się w pełnem słońcu,

pogodne noce spędzając pracowicie u lunet. Pod nami przez długie dni zjawisko „morza mgieł“, a samotny nasz domek przybrał postać chaty rybackiej, przytulonej do brzegów morza, szczyty zaś sąsiednich gór wznosiły się nakształt wysp ponad skłębionem morzem mgieł, falującem lekko przy podmuchach wiatru. W głębi od południa rysował się wspaniały łańcuch Tatr, z dziwną wyrazistością i plastyką w tym roku widocznych. Lunety dozwalały odróżniać poszczególne granie i szczyty znane ml tak dobrze z długoletnich wędrówek.

Aż wreszcie spadły śniegi, odrazu duże i głębokie; z dnia na dzień pokrywa śnieżna zwiększała swą grubość; — służący góral, zwany żartobliwie przez mieszkańców okolicznych wsi „astronogą“ przybiera narty i zjeżdża codziennie do wsi po mleko



Domek mieszkalny astronomów na tle morza mgieł, w głębi Luboń Wielki, Szczebel i Tatry.

i świeżą żywność. Wszelkie transporty ustały, jako jedyny sposób dostawy na szczyt góry pozostał plecak narciarski. Nastąpiły dnin mgliste, Stacja nasza zanurzona w gęstej chmurze, zapadała coraz bardziej w zaspy śnieżne, które wkrótce od północnej strony przesłoniły okna. Służący uporczywie przekopuje przejścia koło domu, oraz ścieżki ku pawilonowi z lunetami, na wyścigi z zawieją śnieżną, która stara się natychmiast zacierać ślady jego pracy. Już i na nartach zapadamy stę powyżej kolan. Na poblizkiej hali obsunęła się z hukiem lawina.

Służący uzbrojony w siekierę i łopatę zjeżdża na nartach z konewką w ręku po wodę. W miejscu, gdzie w lecie tryskało ogrodzone płotem źródełko, obecnie sterczy głęboka zaspa śnieżna, którą należy prawie codzień przekopywać. Dostawa wody na nar-

tach ogromnie ciężka, to też musimy jej oszczędzać na Stacji, a gospodyni stacyjna wytrwale topi śnieg, by oszczędzić uciążliwej pracy. — Wieczorem, gdy opracowuję przy pomocy maszyny do rachowania poczynione obserwacje, wchodzi służący i oznajmia, iż szalejąca śnieżyca zerwała południową antenę. Aby ratować pozostałe, przywdziewam kostjum chroniący od wichru i brnę w zaspach śnieżnych, by z niemałym trudem zwolnić z zawieszenia ciężkie druty, powleczone grubą warstwą sadzi; anteny legły w śniegu, wskutek czego tracimy chwilowo kontakt ze światem. Następnych dni gwałtowne burze śnieżne zerwały komin naszej chatki, a na ranną obserwację metereologiczną musiano się wydostawać do przyrządów przez drzwiczki w strychu, gdyż masy śniegu przesłoniły wejście do domku.



Śnieżna lawina na północnych stokach Przygolezi.

W izbie od północy panuje mrok, nawet w dzień musi się świecić lampę. „Baca", którego domek zniknął pod zaspami śnieżnemi, plącze się po izbach, nie mogąc wychylić się do lasu i nudząc się, gdyż wskutek bezwzględnego odcięcia od świata nie nadarza mu się niestety żadna okazja do szczekania. Kot zaś, obrońca, a czasem niszczyciel naszych zapasów, z filozoficzną powagą postanowił przetrwać zimę jaknajbliżej pieca.

Wreszcie burze i śnieżyce, trwające z małemi przerwami przez wiele tygodni, uspokoiły się. Na niebo wyszło zimowe słońce, oślepiającym blaskiem zalewając świerki pochylone pod brzemieniem śniegu. Korzystając z pogody doprowadzam do porządku radjostację, by znów łowić uchem subtelne cykania zegara paryskiego na wieży Eiffla i uzyskać poprawkę chronometru stacyjnego z dokładnością setnej części sekundy. O zmroku

w północnej stronie horyzontu zapalają się światła Krakowa, widzialne stąd dobrze gołem okiem. Okutany w futro brnę przez zaspy ku lunetom, by korzystać z tak rzadkiej w tym roku pogody. Długie godziny nocne spędzam na obserwacjach ciał niebieskich i pracach astronomicznych, które są przeprowadzane na Stacji, aż do chwili, gdy świt rozjaśni wschodnią stronę horyzontu, lub zmęczenie pocznie utrudniać pracę. Warunki przejrzystości powietrza są tutaj doskonałe, a nastrój przy obserwacjach nieba, na szczycie wysokiej góry, w otoczeniu grożnej zimowej przyrody podniosły, odczuwa się bezpośrednio ogrom głębin wszechświata. Wstęgi Drogi Mlecznej wyraźniej tu występują, a gwiazd widać znacznie więcej i jaśniej one błyszczą na tle ciemnego, górskiego nieba.

Marzec 1924.

Stacja Astronomiczna w Beskidach
na szczycie Łysiny (911 m).

W noce bezsenne.

Zaciszna, ustronna wśród lasu polana...
Dokoła szumi głucho, tajny bór,
Zdala śpi cicho wioska zadumana
I kędyś pierwszy pieje kur...

Bezksiężycowe, ciemne gwiazd sklepienie,
Na niem potężne rysy gór,
Niby upiornych widm złowrogie cienie...
Tam zdala drugi pieje kur.

Cicha ukojna... Z przeogromnej dali
Powstaje jutrznia z poza zwiewnych chmur,
Wszystko rozświetla barwami opali...
We wsi już trzeci zapiał kur.

Na Orawie 1 września 1923. *K. Z-cz.*

INŻ. LUDWIK SIPPEL.

Kopalnia marmuru w Paczółtowicach.

Jedyna w naszym kraju kopalnia marmuru znajduje się w powiecie chrzanowskim. we wsi Paczółtowice. Odkrycie tych pokładów szlachetnego kamienia przypada na rok 1415; w tym to czasie Mikołaj Clauskiesinger, ówczesny dziedzic Trzebini, otrzymał od króla Władysława Jagiełły przywilej poszukiwania ołowiu w okolicy Trzebini (kopalnie galmanu znajdują się po

dziś dzień w Krzu, w powiecie chrzanowskim), a w poszukiwaniu za tym kruszcem natrafił w Paczółtowicach na złomy marmuru. Od tej chwili właściciele wsi Paczółtowice korzystali to w większym, to w mniejszym stopniu z owych pokładów na swych gruntach.

Już za czasów Zygmunta I. przemysł górniczy był w okolicy Paczółtowic bardzo ożywiony, a mieszczanin krakowski Seweryn Bonar na mocy wyżej wspomnianego przywileju, poczynił liczne próby robót kopalnianych na przestrzeni od Trzebini do Paczółtowic. Sprowadzeni około roku 1520 za poradą tegoż Bonara przez królowę Bonę do Polski Włosi, objęli w zarząd łomy paczółtowickie. Wystawili też w r. 1545 w kościele św. Franciszka w Wilnie, jako pierwsze dzieło sztuki z krajowego marmuru, nagrobek dla Elżbiety, żony królewicza Zygmunta Augusta. W późniejszym czasie Hieronim Canaresi, słynny rzeźbiarz Zygmunta III., wykonał z tego marmuru wiele dzieł sztuki, któremi ozdabiał świątynie krakowskie. Ozdoby kościoła św. Marji Magdaleny we Wrocławiu i ustawiony tamże z końcem XVI. wieku wspaniały grobowiec Adama Arzata, są z marmuru paczółtowickiego.

W roku 1628 hrabina z Tenczyńskich Agnieszka Firlejowa nabywa wieś Paczółtowice na rzecz OO. Karmelitów bosych w Czernej, a razem z posiadłością przechodzą także łomy marmuru na własność konwentu, który wkrótce potem wydzierżawia je dwom Włochom, Bartłomiojowi Stepano i Szymonowi Spadi. Z marmuru, dobytego z tych łomów w latach 1630 do 1640, wykonano sześć wspaniałych ołtarzy i liczne ozdoby w kościele klasztornym w Czernej, między innymi dwa posągowe świeczniki, ustawione po obu bokach wielkiego ołtarza.

W czasie budowy ołtarza w kościele św. Szczepana w Wiedniu (Stefansdom), komisja badająca nadesłane jej wzory marmurów, uznała wzór paczółtowicki za najodpowiedniejszy i ten do budowy zaleciła. Z tego też marmuru zbudował artysta rzeźbiarz Jakób Bok w latach 1650 do 1657 wielki ołtarz, a brat jego Tobiasz wyrzeźbił w tymże ołtarzu wielkich rozmiarów płytę, przedstawiającą ukamienowanie św. Szczepana. Te arcydzieła sztuki rzeźbiarskiej, któremi się szczyci stolica Austrji, podziwiane przez wszystkich, którzy przystępują progi tej świątyni pańskiej, stoją już od przeszło dwa i pół wieku nienaruszone, jako widomy i najwymowniejszy dowód dobroci i trwałości materjału paczółtowickiego.

W latach 1688 do 1695 wykonano liczne wewnętrzne ozdoby i ołtarze do kościołów św. Anny, OO. Dominikanów, N. P. Marji, św. Barbary i św. Piotra w Krakowie. Wielkie słupy w katedrze na Wawelu i dużo licznych ozdób tamże, są również z marmuru paczółtowickiego. W r. 1765 postawioną została kolumna pod posąg Kopernika w Toruniu; nie miej wysłano w tymże czasie liczny materjał do wewnętrznej ozdoby kościołów we Lwowie, Toruniu, Gdańsku i Warszawie, wreszcie

w całej Polsce i Litwie używano tego marmuru do ozdób siedzib magnackich. W r. 1787 zwiedził król Stanisław August osobiście kopalnie marmuru w Paczółtowicach, poczem staraniem ks. Izabeli Lubomirskiej powstała w Krzeszowicach kolonja artystów rzeźbiarzy; stąd też dzieła sztuki rozchodziły się nie tylko po całym kraju ale także i za granicą.

Z chwilą upndku państwa polskiego i jego rozbioru kopalnie paczółtowickie nie doznając należytego poparcia, a także z powodu długotrwałych wojen opustoszały, dobywania marmuru powoli zaprzestano, a w końcu wyparte konkurencją zachodu poszły w zupełne zapomnienie. W okresie ostatnich 20 lat chętne jednostki podejmowały niejednokrotnie próby przywrócenia tego, ongi tak świetnego przemysłu krajowego, atoli dla braku odpowiedniego kapitału, fachowej wiedzy i poparcia ze stron miarodajnych nie odniosły nigdy należytego skutku, a tem samem upadały. Obecnie drobny marmur z wszelkich odcieni służy do wyrobu „Terazza“, a jako jedyny łom marmuru w kraju ma przynajmniej dla tej części przemysłu zbyt zapewniony.

Łom paczółtowicki dostarcza marmuru w kolorze czarnym, szarym, jasno-czerwonym z plamami białemi i czerwonemi żyłkami, a równolegle ułożone pokłady dozwalają na łatwe uzyskiwanie pni o rozmiarach do 3 mtr. długości, 1,8 mtz. szerokości i 0,7 grubości, zaś płyty dobywa się o dowolnych wymiarach. Kopalnie same leżą w uroczem zagłębieniu leśnem, na gruntach gminy Paczółtowice w przysiółku Dębniki, skęd wygodna droga leśna wiedzie aż do stacji koleji północnej „Krzeszowice“ oddalonej o 7 km.

Przytykający tuż do łomu przysiółek Dębniki był od wieków i jest dotychczas siedzibą zawodową uzdolnionych robotników kamieniarskich, między któremi nie brak i domorosłych artystów, o czem świadczą najlepiej drobne wyroby z marmuru, tamże wykonane a chętnie poszukiwane i nabywane przez drobnych handlarzy zagranicznych. Niektórzy z tych robotników zajmują się wyszukiwaniem ciekawych wzorów przedpotopowych, utrwalonych w kamieniu paczółtowickim. a zbiór w muzeum przyrodniczem we Wiedniu (Naturhistorisches Museum) zawiera liczne ciekawe okazy z rodzimej ziemi. Włoski czynnik z czasów średnich wieków pozostawił pod względem etnograficznym o tyle tylko w tych rdzennie polskich rodzinach swe ślady, że tu i ówdzie można między nimi napotkać typy o niskiej, krępej budowie ciała, kruczych włosach i brwiach, małych wąsikach i czarnych oczach; także natrafia się nazwiska przechodzące z generacji na generację, oczywiście w dawno spolszczonem brzmieniu przypominającem jednak włoskie pochodzenie (Faryna, Marona, Cekiera i t. p.)

Tak to przemysł i artyzm który kwitł i rozwijał się przez pełne cztery wieki, popierany przez pieczołowitych królów, magnatów i książąt kościoła, artyzm który w postaci dzieł sztuki zdobiących nasze świątynie i pałace daje po dziś dzień świa-

dectwo o zasłużonej sławie trwałości i dobroci krajowego materjału, z chwilą upadku ojczyzny zaniedbany, nie z własnej winy, upadł, a wreszcie wyparty przez obcych poszedł w zapomnienie. Atoli w chwili odrodzenia się ojczyzny winien być wraz z nią również wskrzeszony. Chwila obecna jest najodpowiedniejszą do tego dzieła, gdyż odbudowa kraju, a tem samem jego świątyń, będzie wymagała między innemi także znacznej ilości marmuru, a byłoby co najmniej nieodpowiedniem, aby mając we własnym kraju dobry materjał, napychać za taki sam przedmiot obcym kieszenie. Nie mniej ważną będzie i ta okoliczność, że się tworzy nowy dział przemysłu artystycznego i rękodzieła, co artystom i okolicznym mieszkańcom da dostatni u siebie zarobek.

Zródła: 1) Archiwum klasztoru OO. Karmelitów bosych w Czernej. 2) Louis Józef: Wieś Paczółtowice, Kraków, 1874. 3) O. Romuald: Monografja klasztoru OO. Karmelitów bosych w Czernej, 1914. 4) Dr. Schedel Hartman, Kraków i jego okolice, Norymberga. 5) Polaczek Stanisław: Powiat chrzanowski, Kraków 1914. 6) Tschischka: Der Stefansdom zu Wien, Wien 1832. 7) Perger: Der Dom zu St. Stefan in Wien, Triest 1854.

INŻ. ZYGMUNT RACZKOWSKI.

Kataklizmy przyrodnicze.

Wielkie kataklizmy, jak ostatnie japońskie trzęsienie ziemi przypominają nam od czasu do czasu, że ten nasz „stały grunt pod nogami“ nie jest tak znów pewny, a statystyka seismologiczna wykazuje, że rocznie wydarza się około 30 tysięcy trzęsień ziemi, odczuwanych przez ludzi, a w tem przeszło 30 takiej siły, że sprowadzają materjalne szkody; skala szkód bywa naturalnie bardzo różna i rozciąga się od wywrócenia jakiegoś zmurszałego muru, aż do katastrofy, w której w ciągu kilku sekund idą w niwecz całe cywilizacje, giną całe kraje z setkami tysięcy i miljonami ludności i wobec których nasze kataklizmy społeczne wydają się drobnemi.

Nie brakuje też nigdy przepowiedni o grożącej całemu globowi naszemu katastrofie podobnej do biblijnego potopu, po której oblicze ziemi ma się zmienić, nowe lądy mają się wychylić z odmętów morskich, a stare pogrążyć, topiąc rodzaj ludzki i jego dzieła. Ostatnio obiegła prasę taka przepowiednia, oparta rzekomo na pracach pewnego amerykańskiego uczonego, który z pomiarów usuwania się Andów miał wywnioskować, iż w ciągu najwyżej lat 10-ciu nastąpi gruntowne przesunięcie w dzisiejszym stosunku lądów i mórz.

Co sądzić o takich przepowiedniach? Najsłabszym punktem w nich jest zwykle podawanie dokładnego terminu katastrofy. Jeżeli bowiem można przyjąć że obserwacja i pomiary dać mogą w zazadzie pewne podstawy do przewidywań, to z drugiej strony

wiemy tak mało, prawie nic, o siłach tu w grę wchodzących i całej mechanice ruchów skorupy ziemskiej, że podawanie jakichś terminów jest zgoła zabawne.

Obserwujemy wiele i systematyzujemy te spostrzeżenia troskliwie, faktem jednak jest, że bardzo mało wiemy o strukturze naszej ziemi; tak mało, iż któryś z uczonych odważył się na paradoks, że wiemy o ziemi mniej, niż o odległych gwiazdach. Dawna hypoteza o cienkiej około 70 kilometrów tylko mierzącej skorupie ziemskiej i płynnem, rozpalonem do najwyższego żaru jądrze, jest dziś poniechana. I dobrze, bo hypoteza ta powinna była przecież odebrać spokojny sen ludziom. Te 70 kilometrów stanowią zaledwie jedną stosiedmdziesiątą część średnicy ziemi, jeżeli więc ziemię sprowadzimy do wielkości sporego jabłka, to skorupa jej byłaby skórką pół milimetra grubą. Nie był to stosunek uspakajający, tembardziej, że płynne jądro nie mogło być w równowadze, podlegając tym samym siłom, które powodują przypływy i odpływy mórz na powierzchni ziemi; obawiać by się więc należało, że ta cieniutka skóreczka pęknie kiedyś, że siła przypływów może ziemię znów kiedyś rozerwać, jak to według teorji George H. Darwina miało miejsce ongiś, przy narodzinach księżyca.

Nowsze badania wykazują jednak, że ziemia jako całość jest sztywniejsza niż jednolity blok stalowy, musimy więc skłonić się do przypuszczenia, że materja wewnątrz ziemi pod wpływem olbrzymich ciśnień tam panujących znajduje się w stanie nam nieznanym, którego w laboratorjum reprodukować nie możemy, a różniącym się co do własności fizycznych od stanów stałego, płynnego czy gazowego.

Tem niemniej w skorupie ziemskiej istnieją napięcia. powstałe prawdopodobnie wskutek ochładzania, które wyrównując się dają początek gwałtownym ruchom części tej skorupy, odczuwanym przez nas jako trzęsienie ziemi. Zjawiska te są prawie całkowicie zlokalizowane w kilku pasach na powierzchni ziemi, występują przedewszystkiem w miejscach o wielkich różnicach profilowych tzn. tam gdzie obok łańcuchów wysokich gór leżą niskie doliny lub głębie morskie. Od czasów co do których ludzkość rozporządza wiarygodnymi świadectwami, trzęsienia ziemi odbywają się w trzech pasach: jeden w kierunku równoleżnikowym obejmuje wybrzeża Morza Śródziemnego i ciągnie się w głąb Azji Środkowej, dwa pozostałe, o kierunku południkowym idą obu brzegami Oceanu Spokojnego. W jednym z tych ostatnich pasów leży tak często i dotkliwie doświadczana Japonja.

Trzęsienia ziemi są tak dalece stałem zjawiskiem w pewnych okolicach, że już starożytny przyrodnik Pliniusz postawił zasadę: tam gdzie ziemia się trzęsła, będzie się trząść dalej.

Fale morza Śródziemnego przelewają się obecnie po dawnym lądzie, który w konwulsjach obniżył się aż do przepastnych głębin morza Tyrreńskiego. Korsyka, Sardynja, półwysep Apeniński są jego resztkami, które oby przetrwały jak najdłużej i nie

podzieliły losu bajecznej Atlantydy, której iatnienie ongi staje się coraz mniej bajeczne.

Na oceanie Spokojnym zniknęła w 1923 r. mała wysepka „Wielkanocna“, stanowiąca ostatni ślad większego kiedyś lądu. Widać to było z dużej liczby ogromnych posągów kamiennych rozsianych na wysepce, z których postawienie każdego przechodziłoby siły całej ludności wysepki. Była to więc resztka jakiejś cywilizacji, jakiegoś narodu, śpiącego dziś już w całości na dnie oceanu.

Nasza polska równina należy do najpewniejszych co do niespodziewanych ruchów części skorupy ziemskiej i możemy mieć uzasadnioną nadzieję na najdłuższe trwanie. Da się i u nas wprawdzie czasem odczuć jakieś wahnięcie, ale niesłychanie rzadko i bardzo słabe, jako odgłos rozgrywającej się gdzieindziej tragedji.

Wychowanie fizyczne i sport.

Wyjątkowa tegoroczna zima, obfitująca w nadzwyczajnie silne opady śnieżne i trwałe mrozy, była prawdziwem Eldorado dla miłośników sportów zimowych. To też szczególnie narciarstwo w bieżącym roku ruszyło olbrzymim krokiem naprzód, poczynając zyskiwać należną temu wspaniałemu, jak słusznie Norwegowie mówią „królewskiemu“ sportowi popularność nietylko wśród młodzieży, ale i wśród starszych. W okresie świąt Bożego Narodzenia mogliśmy naprzykład w Zakopanem obserwować niebywałe dotąd tłumy narciarzy płci obojga; jak twierdzą do 1000 par nart uwijało się w bliższej lub dalszej okolicy „letniej i zimowej stolicy“ Polski. Kursów narciarskich, zorganizowanych przez towarzystwa sportowe było tego roku w Zakopanem 5—6, na samym zaś kursie Tatrz. Tow. Narciarzy w Krakowie było około 250 uczestników.

Bieżący sezon zimowy obfitował w ważne i ciekawe wydarzenia sportowe. Tu na pierwszy plan wybijają się zawody **VIII. Olimpjady w Chamonix** w Pirenejach, we Francji. Polski Zw. Narc. wysłał na owe zawody F. Bujaka, mistrza Tatr, A. Krzeptowskiego, mistrza Polski i p. E. Ziętkiewiczową, sławną polską narciarkę, nadto Min. S. Wojsk. wysłało narciarski patrol wojskowy z por. Wójcickim i zawodnikiem Witkowskim na czele.

W wyniku zawodów w biegu 18 km Polska uzyskała 28 i 29 miejsce, w biegu na 50 km 21 miejsce, w skokach 21 miejsce, według klasyfikacyj zawodów złożonych 19 miejsce. Jeśli zważymy, że Olimpjada zgromadziła najlepszych mistrzów światowych, i ze cały szereg pierwszych miejsc zdobyli bezkonkurencyjni narciarze skandynawscy, głównie norwescy, miejsca uzyskane przez nieliczną polską reprezentację nie są wcale najgorsze. Dodać jeszcze trzeba, że nadzieje na „klasę“, jaką byłaby

niewątpliwie wykazała p. Ziętkiewiczowa spełzły na niczem, gdyż nie było odrębnego biegu pań.

Z polskich łyżwiarzy jedynym zawodnikiem reprezentującym barwy polskie na Olimpiadzie był Jucewicz (z warsz. A. Z. S.), który w ogólnej klasyfikacji uzyskał zaszczytne 8 miejsce; w klasyfikacji państw Polska otrzymała 7 miejsce.

Doroczne **zawody o mistrzostwo Polski** odbyły się w tym roku w Krynicy od 16—18 lutego. Krynica, jak zgodnie wszyscy stwierdzają, okazała się doskonałym miejscem do urządzania zawodów, obfitującym w wyborne tereny, narciarskie i dobre warunki śnieżne. Mistrzem Polski na rok 1924 wedle skombinowanych wyników biegu i skoku został H. Mückenbrunn z Sekcji Narc. Tow. Tatrz. Drugie miejsce uzyskał zeszłoroczny mistrz A. Krzeptowski (Sokół zakop.), trzecie F. Bujak (S. N. T. T.) Najlepszym skoczkiem okazał się w zawodach H. Mückenbrunn. W senjorach II. klasy pierwsze miejsce zdobył Gąsienica-Sieczka (Sokół zakop.), drugie S. Teisseyre (Karp. Tow. Narc. we Lwowie). W biegu pań pierwszą nagrodę uzyskała p. Dubieńska (A. Z. S. Kraków).

Bardziej szczęśliwie niż we Francji powiodło się naszym narciarzom w Czecho-Słowacji.

Na dorocznych zawodach międzynarodowych, urządzanych przez Tow. Karpackie w Kiezmarku, w **Westerowie** (przezwanym przez Czechów „Poljanką"), po południowej stronie Tatr, w dniu 22—24 lutego, sztafeta polska, złożona z Bujaka, Bednarskiego i Mückenbrunna (S. N. T. T.) wygrywa w biegu sztafetowym po raz trzeci puhar wędrowny Tow. Karp., zdobywając go tem samem na własność. W biegach długich Polacy uzyskują 4 i 5 miejsce po Czechach i Niemcach, w skokach jednak 5 i 6, w biegu kombinowanym Polska otrzymuje 3 i 4 miejsce. Lepiej jeszcze powiodło się w Westerowie polskim juniorom, którzy zdobywają w biegu sztafetowym pierwsze miejsce, a w biegu długim wszystkie pierwsze miejsca.

Oprócz tych głównych zawodów, odbyło się szereg pomniejszych zawodów, jak: zawody narciarskie o mistrzostwo Lwowa (mistrzem S. Teisseyre z K. T, N.) — zawody o mistrzostwo Zakopanego (mistrzem Andrzej Krzeptowski z Sokoła zakop.), zawody sokole w Zakopanem (mistrzem A. Krzeptowski) — zawody krakowskie, urządzane przez A. Z. S. i T. T. N. — zawody o mistrzostwo armji w Zakopanem (mistrzem Andrzej Krzeptowski II. z 3 p. strz. podhal.) itp.

Z łyżwiarstwa, które daleko słabiej w Polsce się rozwija, mamy do zanotowania okręgowe zawody łyżwiarskie w Krakowie, słabo zorganizowane i zawody o mistrzostwo Polski 16 i 17 lutego w Warszawie, w których ulega nasz reprezentatywny zawodnik Jucewicz mistrzowi Polski W. Kucharowi (Lwow. Tow. Łyżw.) w biegu na 1500, 5000 i 10000 m., zwyciężając w biegu 500 m. Kuchar uzyskał na rok 1924 mistrzostwo Polski w łyżwiarstwie.

VIII. Olimpjada w Paryżu, która odbędzie się w czasie od 3 maja do 27 lipca b. r. będzie najważniejszem zdarzeniem sportowem w tym roku, emocjonującem umysły całego świata kulturalnego i pobudzającem do wytężonej pracy przygotowawczej świat sportowy.

Związek Polskich Związków Sportowych wysyła na Olimpjadę reprezentantów sportów: piłki nożnej, lekkiej atletyki, konnej azdy, kolarstwa, gimnastyki, strzelania, wioślarswa i boksu.

II. Doroczne zawody młodzieży szkół średnich okręgu krakowskiego, urządzane staraniem Kuratorjum okr. krak. odbędą się 7 i 8 czerwca b. r.

Program zawodów dla uczniów w bieżącym roku niezmieniony obejmuje: 1) trójbój: a) bieg rozstawny 4×100 m., b) rzut oszczepem w dal (zamiast dawnego rzutu granatem), c) skok w dal z rozbiegiem. 2) gra w koszykówkę.

Wymienione punkta obejmują zawody o nagrodę wędrowną K. S. „Cracovia". Nadto w program zawodów wchodzi przechodzenie przez parkan 3 m. wysoki i zamiast wyeliminowanego w tym roku biegu z przeszkodami szereg gier pokazowych (przeznaczonych na przyszłe zawody) np. palant, uszatka, ball-goall.

Zawody uczenic obejmują jak w zeszłym roku koszykówkę. Ponadto okazową lekcję gimnastyczną szwedzką na boisku.

W warunkach przystąpienia do zawodów nastąpiło utrudnienie o tyle, że drużyna zasadniczo może wynosić tylko 10 uczniów (w zeszłym roku 15) — jak również 10 uczenic w wieku od 15 lat skończonych, w górę.

W zawodach tegorocznych spodziewany jest napływ licznych drużyn zawodniczych. Walka o mistrzosiwo będzie bardzo zażarta i interesująca, tem więcej, że tegoroczny mistrz seminarjum męskie w Krakowie odgraża się, iż nie da sobie wydrzeć palmy pierwszeństwa. *T. Bier.*

Z ruchu krajoznawczego.

Koło Szkolne Krajoznawcze istnieje przy Polskiem Towarzystwie Krajoznawczem w Warszawie Powstało w lutym 1921 r. pod nazwą: „Orlego Hufca". Inicjatorem i twórcą Koła był dr. Tadeusz Dybczyński, członek P. T. K. Zebranie inauguracyjne odbyło się dnia 13 marca 1921 r. przy obecności prezesa P. T. K. Al. Janowskiego. Koło rozwijało się pomyślnie tak, iż w krótkim czasie lista członków wykazywała 89 osób. W skład członków wchodziła młodzież szkół średnich, żeńskich i męskich. Prace Koła opierały się na referatach i wycieczkach. Podczas wakacji 1921 r. odbyły się wycieczki miesieczne. Jedna była skierowana w Korpaty wschodnie. Huculszczyznę i Tatry, druga szlakiem Gór Świętokrzyskich, Olkuskiego, Ojcowa, Krakowa i Tatr. Z pastaniem roku szkolnego 1921—22 „Orli Hufiec" zreformował się. Usunięto koleżanki, a nazwę Koła zmieniono na „Koło Szkolne Krajoznawcze", przy P. T. K. w Warszaw e. Główny protektorat nad Kołem powierzono Akad. Kołu Krajoznawczemu. Prace członków Koła zaczęły zakreślać szersze horyzonty. Utworzono dwie komisje: wycieczkową i referatową. Zorganizowano

kurs instruktorów i przewodników po Warszawie. Do wakacji 1923 r. zorganizowano 10 wycieczek, 5 było miejskich, 3 podmiejskie (Bielany, Młociny, Czersk i Wilanów) i 2 dalsze: (dwudniowa do Lublina i jednodniowa do Modlina).

Podczas wakacji wyszły dwie wycieczki: jedna w kierunku Olkusza, Ojcowa, Krakowa i Tatr trwała dwa tygodnie, druga Półwysep Heli-Gdańsk trwała tydzień.

W roku tym wygłoszono 18 odczytów dla członków i dwa płatne dla młodzieży szkolnej.

Rok szkolny 1922/23 nie przyniósł żadnych zmian znaczniejszych. Zmieniono zarząd Koła. W roku tym odłaczyło się Koło Akademickie Krajoznawcze od P. T. K., Koło więc nasze zostało pod bezpośrednim zarządem P. T. K.

Praca trochę osłabła. Wygłoszono jednak 11 referatów i poprowadzono dwie wycieczki podmiejskie (Serock, Zegrze, Radzymin). Podczas wakacji natomiast wyruszyły trzy wielkie wycieczki: 1. Dawniejszym szlakiem Gór Świętokrzyskich, 2. Babia Góra, Tatry, 3. Żegiestów, Krynica, Pieniny i Tatry.

Dnia 29 września b. r. odbyło się walne zebranie K. S. K. Wybrano nowy zarząd w skład którego wchodzą: M. Berżyński przewodniczący, P. Mamrot sekretarz, Grochocki skarbnik, Plewicki przewodnik Kom. wycieczkowej, Guerquin przewodniazący Kom. referatowej. Utworzono także komisję rewizyjną, składającą się z trzech członków. Podzielono się na szereg sekcji: 1. Ludoznawczą, 2. Etnograficzną, 3. Historyczną, 4. Sztuki. Prace Koła polegają na pracy w sekcjach. Komisja wycieczkowa i referatowa zajmują się organizowaniem wycieczki lub referatu w formie projektu uchwalonych przez sekcje. Obecnie członków jest 36. Wygłoszono w tym roku szkolnym 4 referaty, poprowadzono wycieczkę do Raszyna.

Główmem zadaniem tegorocznego zarządu jest zawiązanie stosunków z innemi kołami w Polsce.

Koło Historyczno-Krajoznawcze, przy P. Sem. Naucz. M. w Kielcach, powstało we wrześniu b. r. szkolnego, z Koła Historycznego uczniów tegoż Seminarjum, założonego w dniu 11 października 1922 r. Koło posiada obecnie dwa oddziały: Historyczny i Krajoznawczy.

W ciągu b. r. szkolnego odbyło się 11 zebrań, z których 6 było poświęcone Historji, a 5 Krajoznawstwu. Wygłoszono 10 odczytów, w tem 6 Historycznych, 4 Krajoznawczych.

Urządzono uroczysty obchód rocznicy powstania listopadowego w salach szkolnych w dniu 29 listopada, z którego dochód przeznaczono na bibljotekę Koła. W dniu 1 marca otwarto Czytelnię pism Koła; prenumeruje się „Tygodnik Illustrowany", „Ziemia" i „Orli lot".

Obecnie odbywa się kurs dla przewodników wycieczek po Kielcach pod przewodnictwem czł. Pol. Tow. Kraj. p. prof. M. Hubickiej. Na wiosnę projektowane są liczne wycieczki.

Koło liczy 62 członków. Na czele Koła stoi zarząd, który składa się z prezesa, sekretarza, skarbnika i 2 sekcyjnych. Prezesem Koła jest obecnie kol. Sylwester Kowalczewski, sekretarzem kol. Stanisław Mieszczak, skarbnikiem kol. Aleksander Biernacki, sekcyjni kol. J. Pokutyński i W. Łukasik.

Cena jednego numeru 0·12 złp., z przesyłką pocztową 0·15 złp.
Przedpłata roczna 1·50 złp.

Wszelkie przesyłki pieniężne, zwroty niesprzedanych egzemplarzy należy wysyłać pod adresem: **Księgarnia „Orbis", Kraków—Dębniki, Barska 41.** Najdogodniej jest wysyłać pieniądze czekiem P. K. O. Nr. 148.788. Na odpowiedź załączyć znaczek pocztowy.

Redaktor: Prof. Dr. Tadeusz Kiełpiński, Kraków, Piotra Michałowskiego 3
Administracja: Kraków—Dębniki, Księgarnia „Orbis".

Nakładem „Orbis" w Krakowie. Czcionkami Drukarni Ludowej.